

Dziewczyna i Francuz

Pan Tymoteusz Pauli z Mayo pojawił się w zajeździe pod „Słonecznym Blaskiem” dnia 3 lutego 1653 roku. Wszedł do środka w samo południe, z ostatnim, dwunastym uderzeniem zegara i pozostał w mieście trochę ponad tydzień. Nie miał konia ani wielkiego bagażu, dwa kuferki i torbę podróżną wniósł jego służący, Jacques, chyba niemowa. Pan Tymoteusz był szczupłym, niewysokim mężczyzną w średnim wieku, ubierał się starannie, dobierając poszczególne części garderoby tak, aby stanowiły na nim nie tylko ozdobę, ale także podkreślenie wielu cnót odziedziczonych po przodkach, których – jak sądził – był wyrazicielem. Choć nie nosił broni, chciał uchodzić za szlachcica. Preferował czerń aksamitną i głęboką oraz różne odcienie szarości. W niewielu miejscach dodawał odrobinę brązu – rzadko zakładał brązowe trzewiki, częściej pas brązowy i kapelusz z szerokim rondem. Podczas bytności w zajeździe pod „Słonecznym Blaskiem” korzystał pan Tymoteusz z usług najlepszego w mieście balwierza. Ten podciął mu włosy, odrobinę je przyczercił i tak pięknie podkreślił loki, że klient, przeglądając się w lusterku, powiedział – *Prima! Tres bien, monsieur*. Tego samego dnia pan Tymoteusz zapiął u szyi koronkową, hiszpańską kryzę, choć zazwyczaj preferował szerokie kołnierze. Pani Aniela, żona właściciela zajazdu, patrzyła na nie z zachwytem. – Czyściuteńkie – mruzczała, a miało to oznaczać, że tak białej bieli nigdy dotąd nie widziała. Podobnie wielkie wrażenie wywierały na niej rękawiczki gościa z Mayo, każdego dnia inne! Zakładał je pan Tymoteusz z wdziękiem, wychodząc do miasta. Stawał w progu, spoglądał na niebo, jaka jest pogoda, wołał na Jacquesa, mimo że ten stał w pobliżu, podnosił rękę i ściągając usta jak do pocałunku, wymawiał słodkie – *Adieu*, tak że Aniela odczuwała lekkie uderzenie krwi do głowy. Na przechadzki zabierał pan Tymoteusz szkicownik pięknie oprawny w tłoczoną skórę, czasem książkę. Jestem literatem z Francji – przedstawił się pierwszego dnia oberżyscie. – Moja muza, to Klio. Wiele miesięcy później znaleźli się tacy, co mówili, że zagadkowy gość zajazdu pod „Słonecznym Blaskiem” był szpiegiem na usługach szwedzkiego króla. Czego to jednak ludzie po fakcie nie opowiadają. Rzekomo widziano pana Pauli z Mayo, jak wysiadał z czarnego jak karawan powozu przed Wyżynną Bramą, a jednocześnie znany szyper z Pobrzeża zaklinał się, że Tymoteusz i Jacques, który wedle jego opowieści miał być kochanką literata przebraną za chłopaka,

przyłąnęli 1 lutego holenderską fleutą z angielskim suknem. Podawał nawet nazwę okrętu – „Balthazar” – i nazwisko kapitana, który nim dowodził, Frederica Leizelta. Takie to były sprawy.

Oberżysta, Tytus Sonntag, na którego mówiono Burak, od początku przyglądał się Francuzikowi nieufnie.

– Dziwny jest – przekonywał żonę – za mało bagażu jak na takie strojenie – mówił tonem znawcy. – Za dużo pieniędzy. A w dodatku – literat – powtarzał, kręcąc buraczanym nosem. – Co to jest literat? Że pisze? Ja też potrafię, a żaden ze mnie literat, psia mać – było to ulubione powiedzonko Tytusa, jak „Amen” w pacierzu kończyło większość długich wypowiedzi. Tymczasem żona oberżysty polubiła od razu nowego gościa, bo był delikatny człowiek i od czasu do czasu wtrącał do rozmowy urocze francuskie aforyzmy, które zaraz z uśmiechem tłumaczył dla ślicznej pani gospodyni na niemiecki. – Słowa miłości są jak róże – cytował niby Jacquesowi, ale Aniela wiedziała, co w trawie piszczy. Zresztą, po cóż prawilby nauki o słowach miłości słudze-niemowie. Kobieta od dawna oczekiwała tajemniczego gościa. Cyganka wywróżyła jej kiedyś burzliwy romans z bogatym mężczyzną w średnim wieku, cudzoziemcem, i wyjazd do nowego domu. Młoda, wciąż młoda i znacznie młodsza od Tytusa gospodyni przeżywała więc za sprawą pana Tymoteusza Pauli z Mayo chwile niezwykłego uniesienia. To było jak zauroczenie. Dla niej – takie miała przekonanie – pan z Francji błyszczał dowcipem tak wyszukany, że ona biedna nie potrafiła rozpoznać puenty i zaśmiać się w odpowiednim momencie, dla niej jedząc, tak pięknie poruszał bladymi palcami, jakby grał na jakimś instrumencie, dla niej podkręcał wąsik i cichutko szeptał – Pani jest Słonecznym Blaskiem w „Słonecznym Blasku” – tak, żeby mąż nie słyszał.

– Bądź ostrożna – ostrzegał ją Tytus – to bawidamek. – Też mi coś – burczała Aniela. – On po prostu umie się zachować.

Miała teraz sny, jakich nigdy wcześniej nie miewała. Ona, protestantka, zakradała się nocą do katolickiego kościoła, był pusty, ani żywego ducha. W kapturze, z dłońmi na bijącym sercu siadała cichuteńko na zimnej ławie w pobliżu czarnego konfesjonału, gdy nagle z jego głębi wynurzała się blada dłoń pana Tymoteusza i kiwała na nią palcem. – Podejdz bliżej, dziecino. – Czując mrowienie w udach, podchodziła, a wreszcie klękała tam, gdzie klękają grzesznicy. Tuż za kratką miała przed sobą twarz ukochanego. Uśmiechał się bezwstydnie. A potem, o rety, co potem się działo. On, znaczy pan Tymoteusz, zamiast słuchać jak spowiednik, czytał w jej najskrytszych myślach i opowiadał, co chciałby, gdzie chciałby, jak chciałby i z kim. Z najdrobniejszymi szczegółami opisywał wszystko. Aniela błagała o litość, ostrzegała, że zemdleje, a on śmiał się z tego i mówił: „Tylko na to czekam”. Chciała uciekać,

lecz drogę zastępował jej Jacques, zmieniony nie do poznania. Ubrany jak zakonnik od św. Dominika, w rękach trzymał narzędzia tortur. Za nimi stali bracia ze świecami w dłoniach. – Twoje grzechy są zbyt ciężkie, będziesz musiała spłonąć – mówił. I płonęła żona oberżysty noc w noc, przez dni osiem lub dziewięć, dopóki pan z Francji przebywał pod dachem oberży jej męża. Tytus zaczął obawiać się o zdrowie żony, zasięgnął rady przyjaciół od kufla piwa, a ci przekonali go – Za mało się nią zajmujesz w nocy. – No to się zajął i żona rzeczywiście trochę znormalniała. Lekarstwo okazało się skuteczne, tyle że Tytus, zbyt leniwy, nie zamierzał dawkować go w tym czasie tak często, jak należało. Aniela wciąż wzdychała, Tytus, kręcąc buraczanym nosem, rozlewał piwo, a pan Tymoteusz wędrował od kościoła do kościoła, po porcie, Wyspie Spichrzowej, zaszedł aż na wzgórza pod miastem, za wały. Był gościem księgarza Achima Rohbocka i za jego radą nabył pewną starą książkę, niemal tak dużą, jak połowa podróżnego kufierka.

Dni były słoneczne, choć zimne. Nocami padał śnieg. Mrozik łapał przechodniów za policzki, nosy i uszy. Dzieci zabawiały się na placach lepieniem kul śniegowych i ślizganiem się na pokrytych lodem fosach. Dokarmiano ptaki. W wielu domach organizowano karnawałowe zabawy. Tymczasem pan Tymoteusz i Jacques, jeżeli tylko nie wychodzili na spacer, zajmowali miejsce przy okienku, z którego widok roztaczał się na brukowany plac przed wielką Zbrojownią Miejską. Mogli tam przesiadywać godzinami. Pijąc czerwone wino, pogryzając ciasteczka z rodzynkami, czytając, spoglądali niby od niechcienia na wozy zwożące saletrę do Starej Apteki, budynku przy Zbrojowni, gdzie wytwarzano „piguły”, czyli pociski do armat, na żołnierzy najemnych i strażę miejskie zmieniające warty, na działa wtaczane i wytaczane. Jednego dnia – zrobiło się wtedy tłoczniej przy oknie, a pani Aniela krągłym biustem dotknęła ramienia pana Tymoteusza – na placu wykonywano wyrok chłosty, karę za cudzołóstwo. Nieszczęśnika, odartego z ubrania do pasa, pomocnik kata bił za zmianę z katem. – Raz, dwa, trzy – liczyli gapie. Pani Aniela prawie czuła te uderzenia na własnych plecach, co nie znaczy, że przeszkadzało to jej – udającej zainteresowanie chłostą – wciskać się swoim ciepłem w poblizze Francuza. Miała nadzieję, że on, dworny, dotknie ją swym arystokratycznym chłodem; ramieniem, kolanem, ręką – obojętnie czym dotknie.

Niestety, wielkie nadzieje kobiety rozwiały się, gdy następnego dnia wróciła z targu z gęsią do zajazdu. Powitał ją Tytus, promienny jak rzadko. – Wyjechał ten twój – rzekł triumfująco. – Przystanie nas męczyć. Gęś wyrwała się z koszyka i biegała po izbie. Służące ruszyły za nią. Łzy napłynęły do oczu Anieli, usta rozmiękły. Szybko minęła męża, krzycząc do kuchni – garnki przygotowane?! – Czuła się strasznie. Modliła się chyba jednak bardziej o jego powrót niż o swój spokój. „Gubisz swoją duszę” – ostrzegęło ją sumienie, podczas gdy

gorąca krew w żyłach rozpalala do białego młode ciało, które, jak podejrzewała, z winy Tytusa nie zaznało jeszcze macierzyństwa. W jej rodzinie kobiety były płodne, ona na pewno mogłaby urodzić, nie raz, nie dwa, ale dziesięć. Rodziłaby tak, jak przygotowuje obiad, pierze, sprząta, myje podłogi – porządnie. Jest przecież od lat gotowa. Nocami wychodziła Anieli na podwórze, piła zimną wodę, spoglądała w oczy czarnym kotom, chciwie przyjmowała w siebie chłód drażniący jej wygrzaną pod puchową pierzyną skórę.

Chłód to umieranie – pomyślała i nagle naszła ją ogromna ochota, aby zrzucić z siebie koszulę i biec zupełnie nago w noc z nadzieją, że tam, tam w oddali jest koniec, a nie pusty śmiech. Nie chciała być szalona, lecz martwa. Rozplakała się tamtej nocy, a potem minęły dwa miesiące.

Posłaniec z Rouen pojawił się w zajeździe 24 kwietnia tego samego, nieszczęśliwego roku. Wszedł dziarsko, pobrzękując szpadą. Kapelusz z rozmachem cisnął na ławę. Z zachowania przypominał żołnierza.

– Szczęść Boże – powiedział po niemiecku do Anieli. Tytusa w domu nie było.

– Szukam pana Tymoteusza Pauli de Mayo, podobno się tu zatrzymał.

Żona oberżysty wytarła prawie suche ręce w fartuch. Jej serce zabiło żywiej.

– Pan Tymoteusz Pauli wyjechał – odparła.

– Dawno temu? – młodzieniec wyglądał jak brat-bliźniak Jacquesa, tyle że był nieco roślejszy, miał ciemniejsze włosy i mówił, podczas gdy tamten przez cały czas pobytu pod „Słonecznym Blaskiem” nie odezwał się ani słowem. Stąd przypuszczenie, że był niemową.

– Prawie trzy miesiące minęły – kobieta przyglądała mu się uważnie. Z Francji – pomyślała, a on, jakby potrafił czytać w jej myślach, potwierdził – Przyjechałem z Francji, z miasta Rouen. Nazywam się Kajetan de Aout. Przywiozłem paczkę dla pana Tymoteusza Pauli. Miałem ją dostarczyć do tej oberży i zostawić – wyjaśnił młodzian.

– Pan Tymoteusz wróci tu po nią? – ucieszyła się dziewczyna. Rumieniec wykwitł na jej policzku. Powieki zadrżały.

– Zapewne. Proszę zobaczyć – wskazał na kartkę, którą trzymał w dłoni. Anieli udawała, że czyta, była jednak zbyt podekscytowana, aby skupić uwagę.

– „Słoneczny Blask”, zajazd przy Węglowym Targu, Gdańsk. Pan Tymoteusz Pauli de Mayo. Doręczyć lub powierzyć zaufanej osobie – przeczytał. Młodzian kiepsko mówił po niemiecku, znacznie gorzej od swego starszego krajana.

– Jestem w podróży. Dzisiaj przyplłynąłem do portu. Zaraz też wyjeżdżam stąd do Warszawy, na dwór króla Wazy. Czy mógłbym tę paczkę powierzyć pani?

Pacuzskę starannie owiniętą barwionym papierem i przewiazaną sznurkiem, położył na stole przy oknie.

– Oczywiście. Jak najbardziej. Tak – cieszyła się Aniela. – Przekażę ją, jak tylko wrócę. Pan Tymoteusz i Jacques. Będę pilnowała – mówiła i mówiła, co chwilę wycierając nerwowo już dawno wytarte dłonie w biały fartuch.

– Dziękuję – uklonił się – choć nie wiem, komu.... – zrobił pauzę i spojrzał głęboko w jej oczy.

Dziewczynie zakręciło się w głowie.

– Przepraszam, rzeczywiście, zapomniałam się przedstawić. Aniela Sonntag – ukloniła się także, głęboko i z wdziękiem.

Kajetan de Aout zaśmiał się.

– To dopiero. Co za zbieg okoliczności. Słoneczny dzień w „Słonecznym Blasku”.

– Nazwisko mam po mężu. Sonntagowie trzymają tę oberżę w swoich rękach od dwustu lat. Myślę, że jej nazwa powstała przez skojarzenie z nazwiskiem właściciela. Chociaż, kto wie? – tłumaczyła długo, aby ukryć zmieszanie.

Młodzieniec cofnął się o krok i przyglądał się bacznie najpierw izbie z zegarem przy drzwiach, a potem już tylko uroczej gospodyni. Widać sprawdzał, czy w pobliżu nie ma kogoś poza nimi.

– Sądziłem, że to z pani powodu taka nazwa – przymilał się.

Wiosenny promień słońca wpadł przez okienko i spoczął w sam raz na pacuszce z Francji. Chwila milczenia trwała długo. Anieli poczerwieniały policzki, a pan Kajetan, przymrużając oczy, delektował się do woli kształtnością kobiety.

– Zatrzymałbym się u państwa na dłużej – wyrwał się wreszcie z odrętwienia – ale obowiązki. Mam ważną misję do spełnienia na dworze polskiego króla. W tym momencie wszedł do zajazdu mały, ciemnoskóry chłopiec w turbanie na głowie.

– *Voilà, monsieur Kajetan. Vous etes toujours en retard!* – wykrzykiwał, zabawnie podskakując.

– Widzi pani? Już przepadłem – uklonił się nisko, zdjętym z ławy kapeluszem kilkakrotnie omiatając drewnianą podłogę. – Zazdroszczę panu Tymoteuszowi, bardzo mu zazdroszczę – znów szeptał i znów mrużył oczy. – *Au revoir*. Może się jeszcze kiedyś spotkamy – dodał na pożegnanie. Chłopiec złapał go za rękę i ciągnął. Idąc, dzwonił dzwoneczkami zawieszonymi na wygiętych w górę na modę turecką noskach butów.

Aniela rzuciła się do paczuszki i przycisnąwszy ją mocno do serca, pobiegła na piętro do swojego pokoiku. Schowała ją w szafie pod stertą obrusów, poszewek i ręczników. Tytusowi nie powiedziała o posłańcu ani słowa.

Znowu minął miesiąc. W dniu 25 maja świat Anieli Sonntag zawałił się ostatecznie. Wychodziła właśnie na Targ Rybny ze służącą. Dzień był pochmurny i, jak się okazało po wyjściu, chłodny. Wróciła więc do domu po pelerynę, a kiedy ponownie stanęła przed zajazdem, na placu służącej nie było. Rozejrzała się wokół nieco rozeźlona. Zobaczyła ją w tłumie, który gromadził się obok muru Katowni, tam, gdzie brama. Ludzie podbiegali zewsząd, tłoczyli się, ci z tyłu stawali na palcach. Czterech miejskich strażników minęło Anielę. – Rozejść się! – krzyčili, torując sobie drogę halabardami. Przy bramie stał drabiniasty wóz, na nim leżało trochę starego siana. Służąca, zobaczywszy swoją panią, wyskoczyła z tłumu, wołając: – To ten Francuz, pani gospodyni. To on, co był u nas. Ten sam. O Jezu!

Aniela, jakby wstąpił weń duch lwicy, przedarła się do przodu, odpychając wszystkich na swej drodze. Stanęła blada, ze ściągniętą z napięcia twarzą, tuż przy wozie, obok skrzyconego dyszla, dwóch koni, obok strażnika miejskiego, Hansa, którego znała, bo pił z Tytusem piwo. Na sianie, prawie tak biały jak śnieg, leżał pan Tymoteusz Pauli. – Poznajesz go? – zapytał Hans. – Tak – oparła. Gdyby nie tłum, ten przeklęty tłum, położyłaby się przy nim, z dawna oczekiwanym, a teraz na zawsze utraconym, na jego ramieniu i słuchała, jak przez półotwarte, boleśnie rozchylone usta szepcze – *Adieu, adieu*.

Tak umierają nasze marzenia – pomyślała i wróciła do domu. Na Targ Rybny nie poszła już tego dnia. Siedząc w swoim pokoiku przed otwartą na oścież szafą, spoglądała na miejsce, gdzie ukryła paczuszkę, i słuchała płaczu nieba nad sobą, bo deszcz, co zbierał się od rana, właśnie nadszedł, akurat gdy wybiła dwunasta.

O śmierci pana Pauli z Mayo opowiadano najrozmaitsze, często dziwaczne historie. Rada Miejska przez kilka tygodni prowadziła skrupulatne śledztwo. Strażnik Hans twierdził, że ciało znaleziono przy drodze, nieopodal przedmieścia Siedlce, tuż pod Gdańskiem. Napastnik zadał Francuzowi tylko jedno, lecz za to śmiertelne pchnięcie, prosto w serce. Podejrzewano, że dokonał tego służący pana Tymoteusza, Jacques. Obaj byli widziani w okolicy przez miejscowego gospodarza. Potem Jacques przepadł jak kamień w wodę. Nikt go więcej nie widział, nikt więcej o nim nie słyszał. Przy zmarłym nie znaleziono ani bagażu, ani pieniędzy, ograbiono go także z butów, spodni i kaftana. Oberżysta spod „Trzech Jędz”, u którego podróżni zatrzymali się na ostatnią noc, zeznawał, że pan Tymoteusz podawał się tam za

wędrującego od Królewca Szweda, w dodatku pastora. Wzmogło to podejrzenia Rady, ale niczego nie wyjaśniło. W rezultacie postanowiono sprawę umorzyć. – Niech plotkują – rozłożył ręce burmistrz – wcześniej czy później przestaną.

Pana Tymoteusza Pauli de Mayo pochowano nocą na którymś z miejskich cmentarzy. Jego grobu nie oznaczono żadną tablicą. – Nawet jeżeli był czymś szpiegiem, nikomu już nie przekaze swoich informacji. Chyba że diabłu – pokpiwał grabarz nad łopata.

Pani Aniela jeszcze miesiąc zwlekała z otwarciem paczki. Przychodziła do swojego pokoiku na piętrze w różnych porach dnia, o świcie, w południe, kiedy tylko Tytus wychodził gdzieś na dłużej, także nocą. Zamykała się na skobel i wyjmowała ją z szafy, dotykała, obejmowała, przytulała do piersi i policzków, wachała i całowała. Szeptala do paczuszki ciche wyznania. – Kocham, kocham, kocham – powtarzała najczęściej, zachłannie jak zakłęcie. On jednak nie pojawiał się w snach, mimo że czekała, gotowa wstąpić do tajemniczego kościoła, wyznawać grzechy i płonąć na stosie.

Zrobiłaby dla niego wszystko. Oddałaby duszę za kilka dni odmienności, za łyk szczęścia, za dreszcz słodki, którego doświadczała podczas snów, kiedy on, z konfesjonału, opowiadał jak, gdzie i kiedy.

Wreszcie ciekawość zwyciężyła, wprost z kuchni, z nożem w ręku, rzuciła się na schodki prowadzące na pięterko. Stuk, puk, stuk, puk i już była w swoim pokoju. Drewniaki omal nie spadły jej z bosych stóp. Zamknęła skobel, otworzyła szafę, wyrzuciła pościel, ręczniki, obrusy i biorąc swój skarb w ręce, powiedziała – Mam cię – bo wiedziała, że nic jej już teraz nie powstrzyma.

Nożem rach-ciach poprzerywała gardła sznurkom, paznokciami rozerwała barwiony w drobne różyczki papier, byle szybciej, bo napięcie narosło i stawało się nie do wytrzymania. Na drugi papier, biały, powleczony pajęczyną wstążek, wpadła zębami, gryzła, kąsała to tu, to tam, na oślep. Wreszcie, zdyszana, ujrzała zawartość. Usiadła, otarła zimny pot z czoła i szyi. W środku był jedwab, piękny, w kolorze nieba, tak delikatny, że gdy dotknęła go, zdawał się być prawie powietrzem. Zamknęła oczy – on długi wymykał się z paczuszki jak dżin z lampy. Przemykając po ramieniu, ku szyi, pieścił ją niczym umarły kochanek. Przez chwilę wydawało się Anieli, że czuje jego obecność w pokoju. Otworzyła oczy, lecz nikogo nie było. Z radością spoglądała na jedyną pamiątkę po Tymoteuszu. Ułożyła tkaninę na rękach jak niemowlę i przytuliła do twarzy, mocno zaciągając się jej zapachem. Jedwab, choć piękny, pachniał nieładnie. Zdziwiło to kobietę, próbowała rozpoznać ten zapach, był ciężki, dławiący. Jedwab śmierdział trupem.

Mówiono, że zarazę do Gdańska w roku 1653 zawleczono poprzez bele tkanin wełnianych, przywiezionych z Barcelony, gdzie śmierć pochłonęła w ciągu paru miesięcy kilkadziesiąt tysięcy ofiar. Materiał – tłumaczyli lekarze – wchłania w siebie miazmaty choroby tak samo, jak człowiek. Zapowietrzone towary mieli rozprowadzać chciwi Holendrzy. Od lipca do grudnia 1653 roku zmarło w Gdańsku dziewięć tysięcy sześciuset dziewięćdziesięciu ludzi. Wśród pierwszych ofiar znaleźli się Aniela i Tytus Sonntagowie